№ 36. Warszawa, dnia 26 Listopada (8 Grudnia) 1880 r. Rok 1.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej, w Warszawie: Mesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5. Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI: ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej, w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9. Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

OD REDAKCYI.

Ubiegłe trzy kwartały istnienia pisma, dostatecznie dowiodły o ciągłem dążeniu do postępu w raz obranym kierunku.

Zanim w osobnym prospekcie określimy bliżej program, którego się trzymać zamierzamy, nadmienimy tymczasem, że w nadchodzącym roku 1881 „Nowe Mody Paryzkie“ wychodzić będą w tym samym zakresie i formacie jak dotąd.

Pismo nasze zasilane pracami pierwszorzędnych autorów, ożywione duchem rozumnego postępu, ma już dziś niepłonną nadzieję, licząc na poparcie czytelniczek, utrwalić swe istnienie i stać się organem wszelkich potrzeb kobiety-obywatelki. Wnikając w te potrzeby, najwięcej zajmowaliśmy się kwestyą pracy kobiecej (artykuły p. Jeleńskiego: „*Gdzie praca dla kobiet naszych*“), a dla ułatwienia specyalnego przygotowania się do niej, otworzyliśmy **Szkołę Rzemiosł dla kobiet.** Ciągle wzrastająca liczba uczennic, świadczy iż trafną była myśl nasza. Z czasem uczennice wydoskonaliwszy się, znajdą u nas zawsze pomoc, radę i opiekę w poczynających zawodach.

Nowo przybywające prenumeratorki otrzymają *bezpłatnie* początek powieści *Henryka Sienkiewicza* (*Litwosa*), pod tytułem: *W krainie złota.*

Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, od tego bowiem zależy ilość drukować się mającego nakładu i zamówienie stosownej liczby rycin za granicą. Zwracamy uwagę szanownych prenumeratorek, że nadsyłanie przedpłaty wprost do redakcyi (Niecała Nr 8), najpewniejszą, dla uniknienia pod tym względem zawodu, stanowi drogę.

WARUNKI PRENUMERATY.

Edycya I,

obejmuje **tylko Dział Mód**, to jest co dwa tygodnie numer cały, zapełniony rycinami, z **tablicą kroju, ryciną kolorowaną** lub **fasonem z bibułki.**

W Warszawie.

Miesięcznie rs. — kop. 42.
Kwartalnie rs. 1 kop. 25.
Półrocznie rs. 2 kop. 50.
Rocznie rs. 5 kop. —

Na prowincyi.

Kwartalnie rs. 1 kop. 60.
Półrocznie rs. 3 kop. 20.
Rocznie rs. 6 kop. 40.

Edycya II,

obejmuje **część literacką z dodatkiem powieściowym** co tydzień, wraz z **Działem Mód**, powiększonym **wielkiemi tablicami,** zawierającemi najmodniejsze ubrania na każdy sezon.

W Warszawie.

Miesięcznie rs. — kop. 75.
Kwartalnie rs. 2 kop. 25.
Półrocznie rs. 4 kop. 50.
Rocznie rs. 9 kop. —

Na prowincyi.

Kwartalnie rs. 3.
Półrocznie rs. 6.
Rocznie rs. 12.

Dziewczę w kłopocie.

I komu tu wierzyć?
Osądźcie wy sami....
Osądźcie—lecz bądźcie
Dobrymi sędziami.

Gdy mama mnie czasem,
A jak mi się zdaje,
Że zawsze niesłusznie,
Bądź za co połaje;

Choć chciałabym nawet,
Nie mogę wytrzymać,
By zaraz się jakoś
Nie nadąć, nie zżymać....

I jużcić to musi,
Nim kaprys przeminie,
Odbijać się jakoś
I w ruchach i w minie;

Bo mama ze stoła
Porywa zwierciadło
I —„Patrzaj, patrz“ woła:
— Coś za czupieradło!

Ja, ma się rozumieć,
Że oczy przymrużam,
I tylko tem bardziej
Dąsanie przedłużam;

Lecz upór ten zawsze
Tak drażni mą duszę,
Że potem gdzieś w kącie
Opłakać go muszę.

A oto przeciwnie,
Choć rzadziej to bywa,
Że Janek mię czasem
Tem, owem, rozgniewa;

Ja wtedy tak samo
Dąsam się i zżymam
I gorzej niż z mamą
Wnet z nim się nadymam....

On przecież się wcale
Tem widać nie zraża,
Lecz owszem w zapale,
Raz po raz powtarza:

„O! gniewaj się, gniewaj,
Tak tobie z tem pięknie!“
I ręce aż składa
A czasem i klęknie....

A zawsze tak jakoś
Ujmuje za duszę,
Że w gniewie największym
Roześmiać się muszę.

Lecz komu tu wierzyć?
Jankowi—czy mamie?
Mama—wiem, że nigdy,
Lecz i on nie kłamie....

Oboje jak mówią,
Kochają mnie szczerze:
Tam nie śmiem nie wierzyć,
Tu nie śmiem—bo wierzę.

Więc przy kim tu prawda,
Osądźcie wy sami....
Osądźcie—lecz bądźcie
Dobrymi sędziami!

Jaskółka.

Z TYGODNIA.

— Po niezwykle pięknej jesieni, zima długo ustalić się nie mogła; od dni dopiero kilku śnieg i mrozek zawitały do nas. Odczyty i koncerta są na porządku dziennym, wyprzedzając karnawałowe zabawy; zanim bale, rauty, maskarady, w wir swój chaotyczny pociągną was czytelniczki, zanim gorączkowy szał karnawałowy nastanie, mamy odczyty, taką sympatyą u nas się cieszące. I słusznie. Na katedrze głos zabierają pracownicy pióra głośnych imion i zasłużonej sławy; po prof. Stanisławskim, który z Dantem nas poznajomił, rzucając klasyczny pogląd na dzieło nieśmiertelnego mistrza, wystąpił p. Milicer, traktując przedmiot z nauk przyrodzonych zwięźle i ze znajomością rzeczy. Następnie p. Boguski z działu chemii, o „budowie cząsteczkowej ciał,“ zajmujący miał wykład. Najwięcej jednak dla nas kobiet przedstawiał zajęcia, ze względu na treść i na osobę prelegentki, odczyt Deotymy *O Klementynie z Tańskich Hofmanowej, w obec dzisiejszego pokolenia.*

Wśród uroczystej ciszy poetka wstąpiła na estradę i słowami pełnemi ciepła serdecznego przypomniała słuchaczom o pomniku Hofmanowej, walącym się w gruzy na obcej ziemi; następnie przedstawiła wpływ dzieł naszej pisarki na świat współczesny, odmalowała obraz ogólnej działalności i wykazała wielkie jej zasługi na niwie piśmienniczej.

Rzecz cała traktowana z wdziękiem i wytwornością stylu przykuwała uwagę słuchacza i z żalem przyznać należy, iż tak krótko trwała. Nad wszystkie dzieła Hofmanowej, prelegentka największą wartość literacką przyznaje „Krystynie“ a „Pamiątkę po dobrej matce,“ jako książkę wywierającą wpływ na młode pokolenie pod względem wychowawczym ceni wysoko i w ogóle ogromny wpływ przypisuje dziełom Hofmanowej, na młode pokolenie dzisiejszych kobiet. Kończąc rzecz prelegentka, wzywa matki, aby pomyślały o postawieniu pomnika na ziemi ojczystej, poświęconego pamięci Tej, która dla dobra dzieci polskich pracowała. Jako miejsce do tego najstosowniejsze, Deotyma uważa placyk dla zabawy dzieci w ogrodzie Saskim.

Prelekcye Sienkiewicza do przyszłej pogadanki odkładamy.

— Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, ruch przedświąteczny zaczyna się w sklepach; dziatwa cieszy się gwiazdką i marzy o cudach jakie jej ona zwiastuje.

Bazar dla biednych, w salach ratuszowych również jak lat zeszłych miejsce mieć będzie. Poważne firmy kupieckie udział w nim wezmą. Mówiąc o zabawkach dziecinnych, napominamy matki, aby kupując zabawki, nie wybierały rzeczy bez pożytku, ale z zabawą naukę łączyły. Tyle jest rzeczy pouczających: owe zabawki Froeblowskie, układanie łamigłówek, loteryjki historyczne, geograficzne i t. p., pobudzają dziatwę do myślenia i w główce młodej rozświecają kiełkujące myśli; nawet lalki mogą nie przedstawiać najstrojniejszych dam z trenami, lokami.

Zwiedzając w tych dniach sklep p. Umińskiej, oglądaliśmy rzeczy przeznaczone na bazar i zachwyciły nas lalki w kostiumach ludowych podług wzorów Piwarskiego. Czyż nie lepiej dać dziecku w rękę hożą krakowiankę lub parobczaka, niż wystrojoną lafiryndę, lub upstrzonego pajaca? Pamiętajmy że to polskie dzieci: myśli ich i serca obczyzną nie kaźmy.

O umysłowej stronie dla dzieci starszych i młodszych z pieczołowitością pomyślano. Wydawnictwa z dniem każdym się ukazują w ładnych sukienkach z ładniejszą jeszcze treścią. Pan Hösick jak zawsze, przoduje. Wielce użyteczne są książeczki p. Z. Morawskiej, traktujące naukę poglądową. Zanim podamy obszerniejszą ich ocenę, polecamy je matkom jako niezmiernie użyteczny podręcznik nauki poglądowej. Myśmy też pomyśleli o dziewczątkach starszych, dla których literatura peryodyczna nie zawsze przedstawia strawę zdrową i pożyteczną. Z Nowym Rokiem rozpoczniemy wydawać pismo tygodniowe dla panien p. t. *Wiosna*, kierunek którego obejmie sympatyczna i znana z prac dla młodzieży autorka, Jaskółka. Wkrótce prospekt objaśni o wydawnictwie tego pisemka, a my polecamy go matkom i córkom.

M. R.

SZOPEN I GEORGE SAND.

Znaną jest ogólnie serdeczna przyjaźń, łącząca naszego nieśmiertelnego rodaka z sławną francuzką autorką, a początek tego stosunku, tak ogromny wpływ mającego na oboje, czytamy w *Vie de Chopen*, wydanem niedawno w Dreznie.

„Było to w salonie hrabiny C... Szopen siedział przy fortepianie i podług zwyczaju improwizował. Uderzywszy ostatni akord, spojrzał przed siebie i rozmarzony wzrok jego spotkał skromnej postawy kobietę, opartą o fortepian. Jej głębokie, pełne ognia oczy, zdawały się chcieć przeczytać w duszy artysty. Szopen czuł, że się rumieni pod promieniem spojrzeń tej kobiety, która uśmiechała się do niego. Artysta powstał z swego miejsca i chcąc uniknąć pochwał i podziękowań zebranego towarzystwa, skrył się za krzak kamelii, gdzie się sądził zupełnie odosobnionym.

„Za chwilę usłyszał miękki szelest jedwabnej materyi i delikatny zapach violettes des Parmes. Była to dama, którą zauważył przy fortepianie: zbliżała się do niego w towarzystwie Liszta. Przemówiła głosem nizkim i dziwnie melodyjnym, chwaląc sposób jego grania i szczególniej zachwycała się improwizacyą.

„Szopen słuchał jej, wzruszony do głębi. Nie ma większego szczęścia dla artysty, jak gdy czuje, że jest zrozumianym, a w tych kilku słowach, pełnych rozumu i poezyi, Szopen widział, że ta kobieta pojęła go tak, jak nikt dotychczas....

„Jednak pierwsze wrażenie nie było zbyt pochlebne i artysta nazajutrz pisał w liście do swych krewnych:

„Poznałem jednę sławną znakomitość, panią Dudevant—twarz jej zupełnie nie sympatyczna i nie podobała mi się; jest w niej jednak coś, co mnie uderza i pociąga.“

Dalsza znajomość złagodziła to wrażenie i przez ośm lat, Szopen miał w swej sławnej przyjaciółce najtroskliwszą opiekunkę z oddaniem i poświęceniem pielęgnującą jego wątłe zdrowie. Szopen towarzyszył jej w podróży na Majorkę, którą autorka opisała w książce p. t. „*Un hiver au midi de l'Europe.* Opuszczone opactwo de Valdemosa było przez pół roku schronieniem tej poetycznej pary. Tam to, ponure wycie wiatru w pustych galeryach, głuche echa oddalonego grzmotu, złowrógie, z szalonym pędem przesuwające się chmury, a chwilami wielka, jednostajna cisza, przerywana jedynie żałosnemi skargami morskich ptaków, które zbłąkane, uderzały piersią o nagie skały wyspy: cały ten ponury i poetyczny obraz dzikiej natury był natchnieniem Szopena w tworzeniu tych cudownych preludyi, w których niespokojnym i burzliwym rytmie znajdujemy tak po mistrzowsku, wyśpiewany wyraz naszych melancholicznych marzeń. Szopen improwizował te preludye przy fortepianie, blady, z błędnem spojrzeniem, pod wpływem męczącej hallucynacyi.

Zapewne też, pod wrażeniem tych improwizacyi, George Sand napisała najpiękniejsze karty swego *Spirydyona*, gdzie mnich Alexis opowiada, jak uczucie muzyczne powstało w jego duszy.

„Jednego wieczoru słuchałem szmeru fal morskich opłukujących nadbrzeżny piasek, podziwiając tę wieczną i cudowną melodyę natury. W dali na barce leżał rybak i śpiewał. Słyszałem często śpiew rybaków, lecz ucho moje było dotąd głuche na piękności muzyki, tak jak umysł nie mógł pojąć poezyi. W pieśniach ludowych widziałem tylko wyraz grubych namiętności i ze wzgardą odsuwałem je od siebie. I tego wieczoru, jak zwykle nie miło uderzył mnie ten śpiew, bo przytłumiał cichy plusk wody; lecz po kilku chwilach zauważyłem, że śpiew rybaka zgadzał się z rytmem fal morskich i pomyślałem, że śpiewak, to może jeden z tych wielkich artystów, których sama natura kształci i którzy po większej części umierają nieznani, tak, jak nieznani żyli. Z wzruszeniem więc słuchałem napół dzikiej pieśni tego człowieka, też napół dzikiego. Tajemnicza piękność nocy i cichy szmer fal były akompaniamentem do tego śpiewu, który był ubogi w słowa, więcej jeszcze w myśl; lecz ta cudowna melodya, smutna, rozciągła i jednostajna jak melodya fal, przemówiła do mej duszy i w tej chwili nauczyłem się rozumieć język tonów. Pojąłem, że muzyka, to najpiękniejsza mowa ducha ludzkiego, wyższa nad słowa i poezyę pisaną,

umiejąca wypowiedzieć myśli tak wzniośle, że się w żadnym ludzkim języku wyrazić nie dadzą.“

Ten poetyczny związek dwojga niepospolitych ludzi nie trwał długo; przyczyny i szczegóły zerwania tej ośmioletniej przyjaźni, jakie George Sand podaje w swojej *Histoire de ma vie*, są inne niż te, które czytamy w biografii Szopena; faktem jest, że się rozeszli i nie spotkali więcej w życiu: raz tylko i to na jedno mgnienie oka, także u hrabiny C....

„Szopen—opowiada jego biograf—był już bardzo wyniszczony chorobą, która go wkrótce miała zabić, gdy niespodzianie spotkał się oko w oko z George Sand.

„— Fryderyku! — zawołała głosem cichym, lecz on ją usłyszał. Bladość śmiertelna pokryła delikatne, wychudłe rysy artysty i usunął się, bez dania odpowiedzi.

Kilka miesięcy później umarł, i nie George Sand zamknęła mu oczy: nie była w liczbie otaczających śmiertelne łoże śpiewaka. Jedna z kobiet łagodziła przedśmiertną agonię mistrza, grając jego ulubione melodye „i na ich srebrnym promieniu“ duch artysty uleciał w strony, których śpiewał.

Stefania B.

POGADANKI LEKARSKIE,

PRZEZ

Dra Wł. Chodeckiego.

O sercu.

(Dokończenie).

Ależ, powie, cierpliwie czytająca wywody nasze czytelniczka, czyliż serce jest tylko kawałkiem mięsa, przez które przepływa krew i które pędzi ją do tętnic? Czyż serce nie jest rezerwoarem dla wzniosłych uczuć, dla szlachetnych porywów? Czyż smutną jaką wiadomość nie najprzód odczuwamy w sercu, które najpierw oddziaływa na uczucie żalu lub smutku, szanowna czytelniczko nie uprzedzaj się! Rany serca są mało bolesne; wskazuje to nam, że serce jakkolwiek posiada czucie, ale nie bardzo wysoko rozwinięte.

Tak samo się ma i z wielu wewnętrznemi organami, jak np. i płuca, posiadają one bardzo mały stopień czucia; suchotnik umiera bez bólu, snując złotą nić marzeń na przyszłość, a jeśli doświadcza jakiego bólu, pochodzi to raczej z zaatakowania błony pokrywającej płuca t. j. opłucnej.

O ruchach serca normalnie nic nie wiemy, chyba że jego działalność nadzwyczaj jest przyśpieszoną; znanemi, chociaż nie bardzo częstemi są wypadki, gdzie serce leży po prawej stronie klatki piersiowej i tam rytmicznie puka, a jednak osoba dotknięta tą anomalią, nic o tem nie wie. A jednak, szanowna czytelniczka ma racyę: wrażenie rozdzierającej wieści zmienia działanie serca, przyśpiesza tętno.... stan nasz duchowy najlepiej odzwierciadla się w działaniu serca, które jest spokojnem, przy spokojnym stanie naszego umysłu. Postarajmy się wytłómaczyć te fakta na drodze naukowej, objaśnijmy w jaki sposób silne wzruszenia duchowe mogą zmieniać działanie serca, które jest wierną illustracyą naszego stanu umysłowego.

Zauważmy najprzód, że za zbiornik dla wrażeń ze świata zewnętrznego służy nasz mózg, po nerwach czucia idzie ciągle fala wrażeń do mózgu.

Tam rozpraszając się w komórkach nerwowych substancyi mózgu, wrażenia te służą za źródło naszego życia umysłowego i rodzą postanowienia, wynikiem których jest czyn, objawiający się na zewnątrz po nerwach ruchu. Pierwiastkowo więc wrażenie bywa zawsze odczutem najpierw w mózgu, ale z mózgu wychodzą nerwy kierujące ruchami serca, wstrzymujące jego działanie jak cugle, lub je przyspieszające jak ostroga jeźdźca.

Tak więc wrażenie odczute w mózgu, przechodzi na nerwy kierujące ruchami serca, przyśpiesza je lub wstrzymuje, stosownie do natury wrażenia i indywiduum.

Rozpatrzmy bliżej tę sprawę.

Przy gwałtownych podrażnieniach skóry, serce zaczyna bić powolniej, oddychanie również staje się powolniejszem i głębszem. Jaki proces tu ma miejsce? Otóż to silne podrażnienie doprowadzonem bywa przez nerwy czucia do mózgu i tu przenosi się na inny nerw, podrażnienie którego zwalnia ruchy serca. Jest to tak nazwany *nerw błędny*.

Doświadczenia uczonych niemieckich wykazały, że jeżeli przez nerw ten przepuszczać będziemy strumień elektryczny, ruchy serca zupełnie ustaną; posiadamy substancye, których działanie polega właśnie na drażnieniu tego nerwu i regulowaniu przez to ruchów serca. Do takich substancyi mających wielkie zastosowanie w medycynie należy *digitalis*, która właśnie zwalnia, reguluje, zanadto przyśpieszone ruchy serca. Poznaliśmy już więc jeden nerw, niejako hamulec dla naszego serca; ale istnieje jeszcze jeden nerw, nazwany sympatycznym, którego działanie wprost przeciwnem jest poprzedniemu: przyśpiesza on ruchy serca, tak że w końcu, pulsu narachować nie będziemy w stanie.

Ale i naczynia krwionośne mogą się kurczyć i rozszerzać pod wpływem uczuć i wrażeń. Rumieniec wstydu na twarzy zdradza łgarza.... nagła bladość, wysoki stopień przerażenia. Po rozszerzeniu się jednak naczyń krwionośnych następuje ich skurczenie, t. j. po zaczerwienieniu się następuje bladość, jak to obserwujemy bardzo często przy silnych wzruszeniach duchowych.

Wytłómaczyć ten wpływ wzruszeń duchowych na objętość naczyń krwionośnych jest bardzo łatwo, przypomnijmy sobie tylko ten fakt zaznaczony już powyżej, że naczynia krwionośne nie są sztywnemi rurkami, ale dzięki włókienkom mięśniowym, mają własność kurczenia się i rozszerzania.

Ale to kurczenie się i rozszerzanie naczyń krwionośnych zależy znowu od nerwów, są to nerwy tak zwane naczynio-ruchowe, bo zawiadują one rzeczywiście objętością naczyń krwionośnych. Te nerwy naczynio-ruchowe mają swoje siedlisko w rdzeniu przedłużonym, t. j. łączącym mózg ze szpikiem pacierzowym. Wrażenia więc dochodzące do mózgu przeniesione tam zostają na *centrum* naczynio-ruchowe w rdzeniu przedłużonym, pod wpływem którego naczynia krwionośne kurczą się i rozszerzają.

Rozszerzenie się naczyń krwionośnych objawia się przez zaczerwienienie, kurczenie zaś ich—przez bladość.

Ale obszerność naczyń krwionośnych wywiera znowu ze swej strony wpływ na działalność serca; jeżeli tętnice są na przykład bardzo zwężone, wtedy serce czynić musi większe usiłowania, by do nich wpędzić krew: ztąd powstaje w nas uczucie „bicia serca,“ dające nam znać o podwyższonej jego działalności.

Widzi więc czytelniczka z tego krótkiego rozbioru, że wzruszenia duchowe w dwojaki sposób wpływać mogą na działalność serca: jużto przez stan naczyń krwionośnych, które ze swej strony zmieniają jego funkcye; jużto przez nerwy idące od mózgu do serca. Jeżeli więc mówimy o kim, że to człowiek z burzliwem sercem, to znaczy, że jego serce ulega bardzo łatwo wzburzeniu, kiedy organ czucia i intelligencyi t. j. mózg, jest pod wpływem namiętności. A jednak chcąc się wyrazić ściśle naukowo, musielibyśmy powiedzieć o tym człowieku, iż on jest obdarzony burzliwemi nerwami i t. d., co zresztą w potocznej rozmowie nie ma żadnego znaczenia, bo wiemy iż chodzi tu o przenośnię.

Umiejscawianie więc uczucia w sercu, tej pompie ssąco-tłoczącej, nie ma żadnej podstawy naukowej; bo, czytelniczko, tylko mózg nasz jest siedliskiem wszystkich władz umysłowych, a człowiek z „kamiennem sercem“ oznacza człowieka, organizacyi umysłowej którego, brak uczucia.

W duchowem życiu kobiety uczucie gra ogromną rolę, szczególniej zaś w młodym wieku; to też wtenczas musi być ono kontrolowane przez matkę.

Kwiat uczucia, miłość, darowany niewłaściwie, nieodpłacony, owo zgoła zawiedziona miłość prowadzi nietylko do rozdwojenia wewnętrznego na całe życie, do znienawidzenia świata i ludzi, ale w dodatku staje się przyczyną groźnych zaburzeń w organizmie fizycznym, prowadzi bardzo często do błednicy, często się powtarzającej. Matka zawsze wiedzieć winna, komu córka odda swe serce.

Jak zbyt czułostkowy kierunek wychowania oddziaływa pod każdym względem szkodliwie, bo życie praktyczne nie wypełnia nigdy nadziei, nie spełnia olbrzymich wymagań stawianych za młodu, przynosi więc z sobą tylko niechęć i rozczarowanie; tak z drugiej strony, niewykształcenie sfery uczuciowej, szczególniej u kobiety, pozbawia ją wszystkiego, co jej w oczach mężczyzny wartość nadaje.

Wykształconemu mężczyźnie kobieta podobać się może tylko przez głębokość uczucia, przez „serce“ co zadrży na widok cudzej nędzy; a jednak wyznajmy, że sztuczna atmosfera duchowa, jaką obecnie okrążają podlotków, nie wiele może się przyczynić do wykształcenia uczucia, bez którego nie ma kobiety.

Najwznioślejszem zadaniem kobiety jest właśnie rozwijanie owej sfery uczuciowej w mężczyźnie, przykutym do obowiązków codziennego życia, pogodzenie wymagań życia praktycznego z odwiecznem dążeniem duszy ludzkiej do ideału.

Korespondencya z Paryża.

Listopad 1880 r.

(Ciąg dalszy).

Poruszona wszakże przez Dumasa sprawa, nie skończyła się na jego książce. Do turnieju nie poraz pierwszy teraz, ale podobnie jak i dawniej wystąpił także Emil Girardin. Potężny ten publicysta i król dziennikarzy, w chwili obecnej palcem jest wskazywany w Paryżu i wyszydzany nielitościwie. Oto, w skandalicznéj, a znajoméj wam niezawodnie sprawie generała Cissey i jego ukochanéj, wbrew opinii, stanął po stronie obwinionych. W skutek tego zaczęto zastanawiać się kim jest p. Girardin, ta potęga w prasie, ten milioner, do którego się umizgają nie tylko rząd i deputowani francuzcy, ale także ambasady obce i książęta krwi panujących domów.

Przeszłość redaktora *La France* nie wyszła bez skazy. Skonstatowano, że zmieniał on tak często przekonania, jak baronowa Kaulla bieliznę, i doprawdy, przed tym zarzutem obronić go nie można.

Wszakże ponieważ wiemy jak obszernie polityczne sprawy traktuje prasa warszawska, ponieważ przypominamy sobie jak nieraz piękne nasze Polki rzucały z niecierpliwością gazetę dlatego jedynie, że wszystkie jej szpalty polityką przeładowane były, wszelkich więc komeraży i kankanów politycznej natury unikać postanawiamy.

Jeżeli jednak słusznie Girardin'owi zarzucić można zmienność przekonań w kwestyach politycznych, to wytrwałością się on odznacza w kwestyi kobiecej. Dawniej gromił on Dumasa, dzisiaj nawrócenia jego winszuje, a w podniesionej sprawie, o wiele pozytywniej od swego poprzednika się wyraża. Praca ta wydrukowana w *La Revue Nouvelle* i po jej skończeniu tam, w oddzielnych książkach odbita, nosi tytuł: *L'égale de l'homme*.

Autor jasno wypowiada, że pod każdym względem kobietę za równą mężczyźnie uważa, a nawet z charakteru jego pracy wynika, że wyżej ją stawi. Ztąd też żąda, żeby była ona nie tylko wyborcą, ale i wybieralną, otwarcia wszystkich szranków pracy dla niej się domaga i że to bardzo prędko nastąpi, nie wątpi.

Zbrojny w erudycyą, nie tylko w czcze fraze-

sy, przykładami zebranemi z całego świata, a głównie z Ameryki, dowodzi, że wszystkie kobiety żądania, już w praktyce częściowo są zastosowane. Wskazuje kobiety artystki, uczone, lekarzy, adwokatów, sędziów, prezydentów i t. d., wiarę swą nawet w zdolności i siły niewieście tak daleko posuwa, iż przypuszcza, iż one wojskowo nawet służyć powinny.

Na zmianę praw, której się Dumas domaga, na kwestyą rozwodu zapatruje się Girardin jak na drobiazgi, politowania tylko ze strony mędrca godne.

Jego zasadą jest: prawdziwą i jedyną formą rządu jest głosowanie powszechne, jest panowanie liczby—massy. W takim rządzie społeczeństwo prawdziwe pojęcie *ludzkości* zrozumie. Że zaś składowemi cząstkami ludzkości jak mężczyzna, tak zarówno jest i kobieta, z natury rzeczy więc wynika, że ona wiecznie poniżaną być nie może i nie będzie, a przyszłość ta bardzo niedaleka.

Małżeństwo jest konwenansem społecznym, i jak każdy konwenans pęta niewoli w łonie swojem nosi; w skutek tej jego natury, rozwód staje się czasami rzeczą potrzebną, jestto wszakże *paliativum* złego radykalnie nie leczące i rozwód niepotrzebnym się stanie, jeśli konwenansu się pozbędziemy, jeśli wrócimy do prawdziwego pojęcia ludzkości, do stanu wskazanego nam przez naturę, od któregośmy na nasze nieszczęście tak daleko odeszli.

Oto treść, oto główne, a jak czytelniczki widzą, bardzo mgliste i niejasne zasady Girardin'a. Wdzięczni mu jesteśmy za argumentacyą stwierdzającą zdolności i siły kobiece do każdéj pracy społecznéj, nie mamy do niego pretensyi za to, że w społeczeństwie nowem przez siebie narzuconem, często mężczyźnie niższą i upakarzającą rolę przeznacza. Przypuszcza bowiem, że stanie się on *fainéant, bellâtre, et etalen*, a darujcie, że terminów tych nie tłómaczę. Wierzym, że zrównanie nastąpić musi, że wtedy zdolności i siły o przewadze jednostki decydować będą; ale wracamy do tych samych przekonań, któreśmy w poprzednim wyrazili liście, to jest, że na polu pracy społecznej, tylko kobiety spotkamy, które nie wzięły na siebie obowiązków rodzinnych. Małżeństwo w stosunku do stanu natury uważamy za postęp, a nie za cofnięcie się, a familię za jedyne ogniwo społecznego łańcucha; niech szanowni ci oratorzy i frazeolodzy wymyślą coś na jej miejsce rzeczywiście moralnego, praktycznego i do potrzeb cywilizowanego społeczeństwa zastosowanego, a czołem przed nimi uderzymy i powinszujemy ludzkości, że ostatnie krępujące ją więzy zrzuciła.

Z równą radością i prawdziwem zadowoleniem jak p. Girardin *et consorts*, powitalibyśmy kobietę na każdem polu działalności; ale cóż poradzim na obowiązki, które zatrzymują ją gdzieindziej.

„Prawem kobiety, powiada autor, prawem najwyższem, jest macierzyństwo. Być matką, to jej cel; mieć piękne dzieci, z których jest dumna, to jej ideał. Dzieci tych będzie ona aniołem stróżem; one będą przedmiotem ciągłych jej zajęć i wypełniać będą wszystkie jej dni, aż do chwili, kiedy z naturalnego porządku rzeczy próżnia zrobi się koło niej, kiedy poczuje, że przeznaczenie swoje spełniła. Dzieci staną się wtedy jej podporą i w starości będą dla niéj miały te starania i względy, jakiemi ona je otaczała w niemowlęcym i młodzieńczym ich wieku."

Jeżeli te słowa autora są szczere, a dlaczegożbyśmy wątpić o nich mieli; jeżeli jeszcze nadto zwrócimy uwagę na ten jego nakaz, że każda matka bezwarunkowo dziecię swe karmić powinna: tu w rezultacie zapytujemy, kiedyż ta kobieta będzie adwokatem, deputowanym, żołnierzem, prezydentem, kiedy tutaj, aż do starości inne obowiązki jéj wskazano?

A sądzimy, że sprawy nie zmienia to wcale, czy te dzieci będą w małżeństwie, czy też inaczej zrodzone. Bez względu więc na wymowę, na piękne frazesy, kwestya ta będzie zawsze walką z wiatrakami, jeśli tylko nie do szczególnych wypadków a do wszystkich kobiet ogólnie ją zastosujemy.

Głos podniesiony w tej sprawie, nie skończył się we Francyi na słowach jedynie takich duków jak Dumas i Girardin. Owszem, jak zwykle obok olbrzymów, nagromadziła się massa Pigmejczyków, a najwydatniejszy może pomiędzy nimi jest p. Herce, autor *Léttres à M. Alexandre Dumas fils, etc...*; nie lubimy jednak owego strzelania pustemi ładunkami i sądzimy, że czytelniczki nasze nie będą miały nam za złe, jeżeli streściwszy słowa mistrzów i wypowiedziawszy o nich własne przekonanie, milczeniem pominiemy rzeczy poboczne, gdzie dużo bredni i slów drażniących poczucie delikatności, a nic nowego zupełnie.

Nieśmiertelny Sardou, także w tej sprawie broń swoją ostrzy i w chwili, kiedy w kwestyi rozwodu w Izbach walczący się zetrą, on jako jego przeciwnik, z nową komedyą na scenę wystąpi. A i we wszystkich prawie wodewilach i operetkach, jakie dziś są nowością i powodzedzeniem się cieszą, spotykamy kobiety, które *les femmes, qui tuent...* czytają, o nich wspominać lubią. Widzicie więc z tego, że jestto w Paryżu dziś kwestya na dobie, smutno tylko, że ogół głównie podnosi śmieszną jej stronę.

Ponieważ w gawędzie naszéj o teatraśmy zawadzili, zajrzyjmy więc do tych przybytków Melpomeny, zwłaszcza, że życie ich dzisiaj w zupełnej już wrze pełni.

A najprzód, choć to rzecz już dawna i zapewne już wam wiadoma, niemożemy pominąć uroczystości jaka miała miejsce w Théatre Francais (Comédie francaise) d. 21 października. W dniu tym obchodzono dwóchsetną rocznicę założenia stowarzyszenia komedyi francuzkiéj. Dnia 21 października 1681 r. Ludwik XIV, listem swoim, kontrsygnowanym przez ministra Colberta, połączył dwie trupy aktorów z Hotel de Bourgogne i ulicy Guénégaud w jedno zorganizowane ciało, dla większego sztuki pożytku. Mało tego, że żaden z narodów nie może się poszczycić takiem wczesnem zorganizowaniem właściwego teatru, ale co więcéj, chwila ta jest epoką największéj działalności niepośledniego aktora i nieśmiertelnego komedyopisarza—Moliéra, bezwarunkowo najważniejszéj dramatycznéj sławy francuzkiéj.

Rocznicę tę obchodzono bardzo uroczyście. Rozumie się, Molièr był bożkiem chwili. „Bourgeois gentilhomme" i „l'Impromptu de Versailles" na przedstawienie tego wieczora się złożyły, a Franciszek Copée napisał na ten dzień pełen uczucia, pełen poszanowania dla sztuki i patryotyzmu wiersz „La maison de Molière," wypowiedziany przez p. Got w otoczeniu wszystkich stowarzyszonych komedyi francuzkiéj.

Dla cudzoziemca wszakże więcej niż wspaniałe transparenta, niż wieńce i laury, niż cały przepych, na jaki się zdobył ten piękny teatr, interesu stanowiło towarzystwo, jakie się wieczoru tego zebrało w sali teatralnéj. Spotkałeś tu wszystkie znakomitości francuzkie. Od Grévy'ego i Gambetty do posiwiałego Wiktora Hugo, Dumasów, Augierów, Sardou, od poważnych, a nieśmiertelnych członków Akademii, aż do najpiękniejszych i najstrojniejszych kobiet paryzkich. A co za toalety, co za stroje!

Żałuję mocno, że jestem profanem w tym względzie, bo inaczej wszystkie szpalty waszego dziennika opowiadaniem tych czarów zadrukować byłbym w stanie. Dosyć powiedzieć, że wieczór ten wydał wyrok mody dla całego świata na sezon bieżący.

Po tym małym ustępie, wracamy do kwestyi teatrów paryzkich z ogólnego sprawozdawczego punktu widzenia. Teatrów w Paryżu jest mnóstwo, a jeśli dodamy do nich niektóre Cafés concerts, gdzie oprócz szansonetek także małe komedyjki lub operetki są grywane, to przyjść musimy do wniosku, że sale widowisk w Paryżu pomieścić dziennie mogą około 100,000 osób. Jeżeli jeszcze zwrócimy uwagę na ten fakt, że teatra wszystkie prawie w niedziele i święta, oprócz przedstawień wieczornych, dają jeszcze poranki teatralne; to przypuszczaćby można, że ruch w sztuce dramatycznej musi być ogromny, że nowości te jak grzyby wyrastają ciągle i że pojedyńczemu człowiekowi ująć ten ruch, jest prawie niepodobna. Tak jednakże nie jest. Teatra tutejsze, za wyjątkiem Opery i Théatre français, mają ten obyczaj, że skoro sztuka wejdzie na scenę, przedstawiana jest aż do zupełnego ogrania. Nie rzadko 200, a zwykle 100 miewa przedstawień. Kiedy powodzenie zmniejszać się zaczyna, dzienniki jako premia dla swoich czytelników, dają bilety po zniżonych cenach; idzie więc wtedy do nich ludność biedniejsza, a i dyrektorowie teatrów i redaktorzy gazet robią na tem dobre interesa. Nadto, Wielka opera, Thèatre français i Odeon, teatra przez rząd subwencyonowane, z obowiązku dawać muszą rzeczy klasyczne, a więc Racine'a, Corneille'a, Molière'a i Regnard'a i przedstawienia te dużo wieczorów zabierają. Tragicy francuzcy znakomicie są tu grani; ale jak nigdy nie uwierzymy, żeby Corneille i Racine prawdziwymi tragikami byli, tak nie zgodzimy się na to, żeby u narodu francuzkiego właściwe zrozumienie dramatu było rzeczą możliwą.

(d. c. n.)

OFFENBACH.

Opera bouffa jest w takim samym stosunku do klasycznej, jak burleska do dramatu i polega na drażnieniu zmysłów za pomocą afektów, niedopuszczalnych w poważnej muzyce.

Twórcą tego rodzaju był zmarły niedawno Jakób Offenbach, geniusz *sui generis*, który porwał za sobą tłumy słuchaczów i skusił do naśladownictwa cały szereg młodych kompozytorów; ci, którzy się na nim wzorowali, nie dorośli swojego mistrza i to najlepiej dowodzi jego samodzielności, nie dającéj się pochwycić przez drugich. Najsłabszy jego utwór „Pani Fawart," słynie polotem oryginalności, któregoby mu wielu pozazdrościć mogło.

Do krytyki specyalnej należy ocenić szczególny styl operety, której wynalazcą był mistrz Jakób, najznakomitszy ilustrator humoru. Szkoda, że środki, jakiemi się posługiwał, nie odpowiadały pojęciu bezwzględnemu piękna i nie wynosiły się nigdy po nad świat realny, z całą jego pospolitością.

Urodzony w Kolonii, 1819 r, w 40-tym roku życia stał się dopiero znanym, kiedy jego „Orfeusz w piekle" (1859 r.) zjednał mu ogromne powodzenie. Odtąd pracował niezmordowanie na swoję sławę i majątek, ścieląc coraz nowe kwiaty, rozmaitej barwy i woni, pod stopy publiczności.

Umarł pracując, gdyż niedługo po próbie z ostatniego utworu „Le cabaret de Lilas," uległ atakowi podagry i padł jej ofiarą. Wykształcenie muzyczne pobierał w konserwatoryum muzycznem, gdzie odznaczył się jako wiolonczelista. W 1847 r. pozyskawszy naturalizacyą, zamianowany był dyrektorem orkiestry w Théâtre français, przy którym pozostawał do 1855 r.

W tym roku objął kierownictwo teatru „Bouffes Parisiennes," z zamiarem pisania oper i utworzenia trupy odpowiednich wykonawców. Faza to była najważniejszą w życiu kompozytora, w tej bowiem epoce był najpłodniejszym.

Za najcenniejsze jego dzieło uważają: „La grande duchesse de Gerolstein," które pod względem humoru jednakże nie przechodzi pierwszego jego utworu: „La chanson de Fortunis," skreślone później zwróciło na siebie uwagę znawców, ze względu na oryginalność kolorytu. „Piękna Helena" (1864 r.) zamknęła ten cykl kreacyi, po których twórczy talent ich ojca począł się chylić do upadku.

Miał jeszcze mistrz chwile natchnienia (La perrichale, le roi Caretta), ale już tylko.., chwile. Niemiec z pochodzenia, francuzem nie był nigdy. Dostarczał zasobów dobrego humoru i rozpasanego dowcipu za drugiego cesarstwa, nie troszcząc się co z tego wyniknie. A raz nastawiwszy swą lirę na ów temat, nie przestał na niej przygrywać aż do śmierci, znajdując licznych słuchaczów a nawet miłośników.

Szkoda, że mając talent, nie zwrócił się do poważniejszego rodzaju. Byłby niewątpliwie przeniósł imię do potomności, które w tym stanie rzeczy związał z nieszlachetną tendencyą bawie-

nia zmysłów, zrzekając się oddziaływania na ducha w sposób szlachetny i podniosły.

Piękne ubiory i efektowna wystawa w utworach Offenbacha, a przedewszystkiem lekka melodya, nie wymagająca pracy w słuchaniu, zapewnia im powodzenie u tłumów bezmyślnych, zwłaszcza, iż tłuste libretta wiele im dodają uroku u osób, nie szukających podnioślejszego czynnika w sztuce; są to jednak przymioty nie trwałe, które im nie zapewnią dłuższego żywota.

Oby z Offenbachem znikł jego rodzaj, a scena przestała być przytułkiem dla skandalu... wówczas bez obawy każda kobieta pójdzie do teatru, nie lękając się narazić tam swych oczu i uszu na zgorszenie, a poczucia estetycznego na zawód i niesmak.

A. Niemirowski.

NAD BRZEGIEM MORZA.

NOWELLA,

przekład z niemieckiego

STEFANII B.

(Ciąg dalszy).

Zauważyłam, że młoda dziewica z pewnem zajęciem obejrzała się wokół i cień uśmiechu przemknął po jej twarzy.

— Ach, panno Linden! — zawołała, a głos jej zadźwięczał żywiej—jakżeż twój pokój zaciszny i miły.

— Tak—odrzekłam—lubię radość we wszelkich jej przejawach, i podług mnie nie ma słuszności, kto zamyka oczy na drobne pociechy, które mogą przecież uprzyjemnić życie.

— Jakże może cieszyć się ten, w czyjej duszy cierpienie spoczywa?—spytała zdziwiona.

— Bardzo łatwo—odrzekłam—trzeba tylko wysiłkiem energii zabić w sobie wspomnienie tego, co nas boli. Tylko słabi duchem, marnują życie na próżny żal za tem, co nie wróci nigdy.

— Dziwne masz pani przekonania — rzekła spokojnie, lecz dostrzegłam, że słowa moje nie przeszły bez śladu i zostawiły pewne wrażenie.

Przysunęłam miękki fotel do okna, przez które płynęło świeże aromatyczne powietrze; poprosiłam ją, żeby siadła, a sama podeszłam do fortepianu i zaczęłam śpiewać. Była to stara narodowa szkocka piosenka, każde jej słowo i każda nuta drżała tęsknotą i smutkiem. Nigdy bez łez nie mogłam śpiewać tej pieśni, teraz więcej jeszcze mogłam nadać jej uczucia, gdyż tekst doskonale podchodził do losu biednej dzieweczki, która cicho siedziała obok mnie.

— Proszę, zaśpiewaj pani raz jeszcze — rzekła miękkim głosem.

I znów powtórzyłam piosenkę, a łagodne, smutne tony napełniły pokój, tęsknem echem odezwały się w pustym domu. Spojrzałam ku słuchaczce mojej i serce uderzyło mi radośnie, bo na twarzy jej zobaczyłam pierwszy objaw życia—łzy. Lica te nie były już martwe: usta zawsze chłodne i nieruchome, nerwowo drżały i duże, perliste łzy płynęły po bladej twarzy. Patrzyła w morze, lecz wzrok jej miał wyraz inny, jak przed chwilą.

Tak więc proste, nie uczone tony piosenki znalazły drogę do martwego, jak się zdawało serca i wzbudziły wspomnienia słodkie, choć smutne, tak przynajmniej wytłómaczyłam sobie jej łzy. Za te łzy pokochałam biedne dziewczę, bo one dowiodły, że ma serce.

Nie chcąc przeszkadzać jej, odmieniłam akordy i stara niemiecka ballada melancholicznie zadźwięczała. Narodowe pieśni były moim ulubionym śpiewem, to też zaczęłam wysnuwać z pamięci jedną po drugiej, wciąż spoglądając na młodą dziewicę, które z pochyloną głową i przymkniętemi oczyma, myślą widocznie daleko odbiegła.

— Nie chcesz już więcej śpiewać, panno Linden?—spytała cicho—gdym kilkoma akordami zakończyła śpiew.

— Lękam się, czym nie zmęczyła panią — rzekłam podchodząc ku niej — a pani, czy nie śpiewa?

— Nie, nigdy nie probowałam i nie mam pojęcia o muzyce.

— Szkoda. Taki dźwięczny masz pani głos; jestem pewna, że śpiewałabyś ślicznie.

— Doprawdy? — zapytała i blade jej rysy ożywiły się nagle.

— Jestem przekonana. Nie chcesz pani sprobować? Ja zaakompaniuję pani.

— O, nie, nie! – zawołała przestraszona.—Jakążby mnie to korzyść przyniosło?

— Przyniosłoby wielką przyjemność pani i drugim.

— Drugim — powtórzyła, a twarz jej przybrała znów nieruchomy, obojętny wyraz. Nie! Ja umarłam dla świata. Żyję tylko na to, żeby nienawidzieć. Dobranoc, panno Linden—rzekła pierwszy raz podając mi rękę.

— Dobrej nocy życzę ci, pani. Proszę, nie gniewaj się na mnie i nie nazwij tego ciekawością, ale jabym chciała spytać cię o jedną rzecz.

— Mów pani—rzekła obojętnie.

— Tak nieprzyjemnie i dziwnie, nie módz nazwać cię pani po imieniu. Bądź tak dobrą i powiedz mi, jak mam cię nazywać?

— Moje imię—zawołała boleśnie—o, ja jego nienawidzę, nie chcę nigdy go słyszeć. Nikt nie powinien wiedzieć, jak się nazywam.

— Wiesz, pani, — rzekłam po chwili milczenia—gdy patrzę na ciebie, tak samotną i wiecznie patrzącą w morze, to zawsze przychodzi mi na myśl „Potok“ Lenau'a.

— Kto to, Lenau?—spytała.

— Pani nigdy nie czytała Lenau'a? — zawołałam zdziwiona.—Proszę, posiedź tu pani jeszcze chwilkę, ja przyniosę jego poezye i przeczytam pani.

Ucieszona, że mogę czemś nowem obudzić jej zajęcie, spiesznie wzięłam książkę do ręki.

— Pozwoli pani przeczytać głośno ten krótki utwór poetyczny?

Skinęła głową na znak pozwolenia, a ja z zadowoleniem czytałam tę drobną lecz prawdziwą perełkę poezyi.

„Nieszczęśliwych wiecznie nie ma ludzi“— mówi poeta—jak szumiący potok, toczy bystre fale, unosząc z brzegu zeschłe listki i połamane gałązki, tak i czas zabiera z sobą smutki i cierpienia i zbolałemu sercu wróci szczęście, wróci!“

Starałam się nadać głosowi wyraz prawdy, co nie trudno było, bo słowami poety z serca przemawiałam, do młodej dziewicy, chcąc ją przekonać, że szczęście jej wróci.

Gdy skończyłam, ona wzięła z rąk moich książkę i raz jeszcze przeczytała ten wierszyk i nigdy nie zapomnę dźwięku jej głosu, którym powtarzała ostatnie słowa poezyi: „Wróci szczęście, wróci!“

— Poeta widać znał mnie, zrozumiał moją boleść—rzekła po chwili.

— On umarł dawno; ale jeśli pani nie zna jego poezyi, to czeka cię jeszcze wielka przyjemność. Czy pozwolisz pani, abym ci niekiedy przeczytała co z jego utworów?

— Dobrze, panno Linden, jeśli będziesz łaskawą.

To już było wiele z jej strony. Nie wątpiłam, że poezya i muzyka usuną z jej duszy rozpacz i smutek.

— Ale jeszcze nie odpowiedziałaś pani na moją prośbę—rzekłam z uśmiechem—jak się pani nazywasz?

— Nazwiska mego nienawidzę i pogardzam niem. Nazywaj mnie pani tak, jak moja matka na mnie wołała: Lucy.

— Z radością—zawołałam.—A teraz życzę ci spokojnej nocy, panno Lucy.

Oczy jej zaświeciły wilgotnym blaskiem.

— Ach! jak miło dźwięczy w twoich ustach to imię, panno Linden, tylko nazywaj mnie proszę po prostu—Lucy.

Na drugi dzień poznajomiłam ją z lepszemi utworami Lenau'a. Zaraz po śniadaniu poszłam do jej pokoju, lękając się, że znów wpadła w swój zwykły stan obojętności i zapomnienia o całym świecie i z zadowoleniem zobaczyłam, że na mój widok, twarz jej przybrała wyraz rozradowania i coś, jak uśmiech, przemknęło po ustach.

— Wybacz mi, Lucy—zawołałam wesoło— ale ja nie mogę czytać Lenau'a w tym ponurym pokoju: tu morze huczy tak złowrogo. Należałoby nam czytać poezyę wśród kwiatów i drzew, ale ponieważ ogrodu nie ma, pójdźmy do mego pokoju: tam weselej. A przez czas, jak ja będę czytać, ty, Lucy siedzieć będziesz około moich kwiatów.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu, ona nie opierała się. Sądziłam, że zbawienne będzie, jeśli mi się uda wyrwać ją z tej samotnej komnaty, której ściany przypominały jej tyle gorzkich, przeżytych dni; zaprowadziłam ją do mego pokoju, otoczyłam kwiatami, pod nogi postawiłam stołeczek i usiadłszy na nim, zaczęłam czytać.

Podczas gdy słuchała cudnych słów poety, twarz jej znów zaczęła się ożywiać, nieruchomość rysów zmiękła, a piękne, czarne oczy zajaśniały życiem.

Czytałam bez przerwy dwie godziny i widziałam, że słuchaczka moja pojmuje i odczuwa słowa poety, że podobają jej się coraz to więcej. Gdy skończyłam, nie chcąc, żeby usunęła się do swego pokoju, zaproponowałam jej przechadzkę nad morze.

— Droga panno Linden, czy wiesz pani, jak dawno nie wychodziłam nigdzie?

— Zapewne od czasu, jak ja tu przyjechałam; ale to nie przyczyna, żebyśmy dziś nie mieli pójść. Jakie czyste i świeże powietrze. Pójdźmy, Lucy.

— Ale—zapytała z pewnem wachaniem—czy nie spotkamy tylko kogokolwiek?

— Nie! — odrzekłam śmiejąc się — powinnaś lepiej znać Alhthausen, nie zadawałabyś mi takiego pytania. Od czasu, jak tu jestem, nie spotkałam jednej ludzkiej istoty.

—Może pójdę z panią—mówiła jeszcze nie zdecydowana — chciałabym zobaczyć, jak fale rozbijają się o brzeg morski.

— Zdaje mi się, Lucy, że powinnaś znać każdą falę, w rozmaitych jej przemianach, tak dawno wciąż patrzysz na morze.

Przy tych słowach boleść znów wyryła się na je licu, ale ja nie dałam jej czasu pogrążyć się w smutne wspomnienia, przyniosłam kapelusz i chustkę i wyszłyśmy.

Był to jeden z tych cichych dni, kiedy morze przedstawia się szczególniej pięknie i wspaniale. Nie tak spokojne, żeby być bez zmarszczki, lecz i nie burzliwe. Fale igrały, przemieniając się co chwila, a na ciemno szafirowej głębi, uroczo połyskiwała biała jak śnieg piana. Wesołe wiosenne słońce, drżąc, przeglądało się w niestałej toni, świecąc gdzieniegdzie brylantowym odblaskiem. Śnieżne obłoczki płynęły jak morska piana na lazurowem tle nieba. Świeże powietrze zaraz wywarło swój dobroczynny wpływ na Lucy, twarz jej pokryła się lekkim rumieńcem, w ruchach przebijała energia i siła. Zaledwie ją rozpoznawałam teraz. Usiadłyśmy nad brzegiem morza i śledziłyśmy kołyszące się fale, a ja starałam się ją zająć rozmową. Raz udało mi się wywołać jej uśmiech, który wesoło zadzwonił w czystem powietrzu, a ja z przyjemnością usłyszałam jego melodyjny dźwięk.

— Wielka szkoda, że nie chcesz uczyć się śpiewać — rzekłam — jestem przekonaną, że ty Lucy masz talent do muzyki.

— Na co mnie to!—westchnęła i wesołość jej znikła.

— Czy postanowiłaś całe życie przepędzić w tych ponurych murach?

— Tak — odrzekła stanowczo — nigdzie ztąd nie oddalę się. Tu chcę żyć i umrzeć.

— W takim razie nie możesz nikomu przyjemności sprawić swoim talentem, a i tobie życieby to upiększyło. Przyznaj sama, czy wczoraj i dziś, kiedy czas nam przechodził na takich miłych zajęciach, nie byłaś szczęśliwszą, niż wtedy, gdy cały dzień siedziałaś u siebie i wpatrywałaś się w morze?

— Tak, panno Linden—rzekła Lucy—jestem szczęśliwszą teraz; ale nie w tem cel mojego życia: ja powinnam się tu ukrywać do śmierci.

— Niesprawiedliwie postępujesz, Lucy; nie znam twego nieszczęścia, ale jakkolwiekby ono

nie było wielkie, należy walczyć z niem, nie dać nad sobą zapanować.

— Przedstaw sobie tylko, panno Linden, że jedyny, najbliższy twój krewny, życzy tobie śmierci, dlatego, że stoisz jemu na drodze... Powiedz, cobyś zrobiła wtedy?

— Wszystko na świecie, tylkobym właśnie nie umarła, żeby jemu nie dogodzić—odpowiedziałam śmiejąc się.

— Wracajmy—rzekła jakby z nieukontentowaniem, nagle wstając—zmęczyłam się.

Żałowałam, że rozmowa się przerwała, lecz widoczne było, że pomału zaczynam wywierać nad nią wpływ.

— Pozwolisz mi pani wziąść twego Lenau'a, panno Linden — spytała Lucy gdyśmy wróciły.

— Z ochotą — odrzekłam — ale pod warunkiem, że i inne książki czytać będziesz. Zbyt wiele poezyi, jak każdy zbytek, jest szkodliwe, a zdaje mi się, że w ogóle niewiele czytałaś, Lucy?

— Nie—odrzekła, lekko rumieniąc się—wstyd mnie, że tak mało znam literaturę.

— Zazdroszczę ci. Wielebym dała, żeby mnie czekały takie przyjemności. Ach! jakież my piękne dzieła posiadamy: stopniowo poznasz je wszystkie.

Jako najstosowniejsze dla niej nateraz, wybrałam humorystyczne powieści Dickensa i gdy po upływie kilku godzin, weszłam do pokoju Lucy, powitała mnie głośnym śmiechem. Do obiadu wesoło rozmawiałyśmy o przeczytanej przez nią powieści, a gdy nakoniec weszłyśmy do jadalnej sali, stary sługa był co chwila w niebezpieczeństwie pobicia talerzy i szklanek, tak go zdziwiła zmiana, zaszła w jego młodej pani.

III.

Nakoniec doprowadziłam Lucy do tego, że się zaczęła zajmować muzyką. Ja byłam jej nauczycielką i przechodząc z nią gammy, zachwycona zostałam pełnym altowym głosem mojej uczennicy. Głos ten, przy dokładnem wyrobieniu mógł dojść do rzadkiej doskonałości.

— Masz talent, Lucy—rzekłam jej—dlaczego ciebie dawniej nie uczyli śpiewać?

— Śpiewałam, kiedy moja matka żyła: ona uczyła mnie różnych włoskich piosenek.

— Mówisz po włosku?—spytałam zdziwiona.

— Tak... trochę...

— Tem lepiej. Do śpiewu to koniecznie potrzebne.

Gamma wychodziła coraz to pełniej i dźwięczniej, a ja z radością słuchałam świeżych tonów, które zbiegały z jej usteczek. Gdy po godzinnych ćwiczeniach, skończywszy lekcyę, rzekłam jej uradowana:

— Masz taki piękny głos, Lucy, że jeżelibyś tylko pouczyła się lat kilka, mogłabyś stać się gwiazdą muzykalnego świata.

Na te słowa zamyśliła się.

— Jak pani myślisz, czy za pomocą śpiewu mogłabym podobać się, zyskać czyjąś... miłość, naprzykład?

— Najpewniej: kto cię usłyszy, zechce bliżej poznać i pokocha.

— Jeśli tak, to będę się uczyć: mam teraz cel.

Od tego czasu zaczęła oddawać się muzyce, z podziwienia godną gorliwością. Po kilka godzin codziennie przesiadywała za fortepianem, a mnie patrzącej na tę śliczną dziewczęcą postać łagodnie pochyloną, przychodziła na myśl święta Cecylia, jak ją przedstawiają katoliccy malarze.

Postępy robiła zadziwiające.

Tak przeszło trzy miesiące. Raz, wieczorem, dobierała akompaniament pod stare, narodowe pieśni i nagle zanuciła tę ludową piosenkę, którą ja po raz pierwszy jej zaśpiewałam.

Głos jej miał tyle prawdy i rzewności, że mimowoli uległam jego wpływowi i łzy zwilżyły mi oczy.

— Czy to mój śpiew wzruszył tak ciebie, panno Linden?—rzekła obróciwszy się w moją stronę.

— Nie, Lucy; przeciwnie, on mnie napełnił szczęściem.

— To znaczy, że mogę już śpiewać. Jeślibym jeszcze była ładniejsza, albo choć trochę przyjemniej wyglądała...—westchnęła.

— Dlaczego myślisz, żeś nie ładna, Lucy?

— Ach! ja wiem, że jestem brzydka—odpowiedziała ze smutkiem—jestem brzydkie, czarne, małe stworzenie... wiem o tem.

— Pozwól mi powiedzieć sobie prawdę, Lucy; tak, jak powiedziałam o twoim śpiewie. Jeżelibyś się lepiej ubrała i staranniej ułożyła twoje śliczne czarne warkocze, byłabyś bardzo ładną.

— Ach, panno Linden!—zawołała, a twarzyczka jej pokryła się rumieńcem—czy to może być prawdą?

— Ależ najprawdziwszą—odrzekłam z uśmiechem.—Chodź do mego pokoju, przejrzysz się w zwierciadle i sama przyznasz mi słuszność.

Wzięłam ją za rękę i poprowadziłam do siebie. Tu poprosiłam, żeby zdjęła swoją czarną skromną sukienkę, a ubrałam ją w moją nową suknię, z jasnej niebieskiej materyi, której ani razu na sobie nie miałam. Lśniące włosy, które niezmiernie łatwo układały się, podniosłam nieco od czoła i upięłam w kilka pukli, a dwa loki opuściłam na odsłonioną szyję i ramiona przepysznych konturów. Ze swą smagłą cerą i czarnemi błyszczącemi oczyma, wyglądała raczej na córę gorącej Hiszpanii, aniżeli spokojne dziecię naszej Północy; to też aż klaskałam w ręce z zachwytu, tak czarownie piękną przedstawiła mi się teraz moja smutna dzieweczka.

— No, Lucy—rzekłam w końcu, przeplatając sznur białych pereł pomiędzy pukle kruczej czarności jej włosów—spojrzyj teraz w zwierciadło i powiedz, czy znasz tę damę?

Dziewczyna stanęła przed lustrem, oniemiała ze zdziwienia.

— Czyż to ja jestem, panno Linden?—przemówiła zarumieniona z radości—widzę tu śliczną młodą osobę, a siebie pamiętam taką czarną i brzydką.

(d. c. n.)

Z powodów od nas niezależnych, dalszy ciąg Nowelli Sienkiewicza będziemy mogli pomieścić w następnym dopiero Numerze literackim.

OPIS WIELKICH TABLIC Z MODAMI

do Nrów 35 i 36 dołączonych.

Tablica w N-rze 35.

Ryc. 1. Suknia z bronzowego korciku, u dołu ma wązką falbankę, powyżej dwie większe w fałdy ułożone, z boku ozdobione szlakiem, w deseń ciemny wyszytym. Tiunika w ząb z przodu zakończona, również szlakiem jest objęta. Stanik z upięciem à panier, rogi ma śpiczasto zaokrąglone, ubranie z bufek marszczonych formą szalową; kołnierzyk wykładany podpina krawatka z tego co suknia materyału obłożona, czarną gipiurową koronką oszyta. Kapelusz bronzowy w kształcie czapeczki marszczonej, z boku pióro niebieskie.

Ryc. 2. Suknia wizytowa z materyi w deseń, przybrana szlakami w paski aksamitne; u dołu daje się falbana w kontrafałdy ułożona, powyżej marszczenie na spódnicy, która ma tiunikę w rodzaju szalowego przepięcia kokardą pośrodku zakończoną. Stanik z przodu ubrany bufkami w rzadkich odstępach, które od pasa do dołu w plisy są ułożone. Kapotka wiązana pod brodę, suto koronką ubrana.

Ryc. 3. Suknia wieczorowa z lila materyi gładkiej i w deseń. Ubranie spódnicy stanowią fantazyjne upięcia ukośne. Żakietka w deseń z kamizelką ściętą w bawet z lila gładkiej materyi, kołnierz i wyłogi szalowe.

Ryc. 4. Suknia balowa z różowej materyi. Przód cały w falbanki, ubrany jest gazą w rzut srebrny, którą róża podpina. Renwersa od boków gładkie, oszyte koronką. Tren długi również gładki. Staniczek długi z przodami zaokrąglonemi, oszyty koronką, ma rękawki krótkie z patek złożone, z przodu wycięcie en coeur.

Ryc. 5. Ubranie panny młodej z białego atłasu, spódnica falbankami przybrana. Tiunika w ząb z przodu ścięta, szeroką koronką oszyta; tylny bryt tworzy tren falbanką zakończony, staniczek w plisy z przodu ułożony, które koronka w kształt bawetu zdobi, małe panier u dołu.

Ryc. 6. Sukienka dla dziewczynki ośmioletniej z szafirowego korciku, z żółtemi wypustkami. Na spódniczce plisowanej, daje się paltocik z pelerynowym kołnierzem i plecami w zęby u dołu ściętym z przepięciem. Kapelusik biały kastorowy z piórem.

Ryc. 7. Suknia wizytowa z wiśniowego kaszmiru z falbankami u dołu i tiuniką z boku przemarszczoną, stanik skromny, ubrany koronką w rodzaju żabota z przodu. Kapelusz z materyi wiśniowej formą czapeczki.

Ryc. 8. Suknia strojna spacerowa. Spódnica popielata w plisy i falbanki ułożona. Poloneza i panier upięte z materyału w deseń zielonkawego koloru, z kamizelką popielatą. Marszczone bufki przepięcia, zdobią to ubranie pełne elegancyi. Kapelusz popielaty kastorowy z piórem i różą z boku, podbity materyą przemarszczoną.

Ryc. 9. Kostium spacerowy z szkockiego, w kratę szafirową z popielatym materyału, składa się z spódnicy z falbaną, krótkiej tiuniki z falbanką, z kołnierzem pelerynowym podwójnym, wszystko żółtą wypustką przybrane. Kapelusz amazonka kastorowy popielaty, z szafirową wstążką i piórem przy boku.

Ryc. 10. Suknia wizytowa z materyi ecru z szlakiem marron: są to plecy do ubrania przedstawionego na rycinie drugiej.

Tablica w N-rze 36.

Ryc. 1. Kostium z ciemno-zielonego aksamitu gładkiego, u dołu, falbankami lekko marszczonemi przybrany, z tiuniką bardzo zręcznie upiętą. Żakieta z aksamitu w deseń, z boku spinana, z kołnierzykiem i mankietami gładkiemi; kapelusz aksamitny zielony, rondko marszczone, suto piórami ubrany.

Ryc. 2. Suknia do lekkiej żałoby, czarna kaszmirowa spódnica z falbankami; tiunika lekko udrapowana, stanik z przepięciami szalowemi, z plisowaną kamizelką. Kapelusz czarny krepowy, pod brodą wiązany.

Ryc. 3. Płaszczyk kapucyński sznurami opasany z pelerynką i kapturkiem; kapelusik sznurami ozdobiony. Nieładne i ekscentryczne ubranie.

Ryc. 4. Suknia z szkockiego materyału w kratę, lila, czarny i żółtą; u dołu spódniczki falbana, powyżej lekkko splisowane upięcie. Tiunika krótko ułożona. Stanik z klapami z przodu na kamizelce sfałdowany; poły odcinane, długie, z przodu otwarte i spiczasto zakończone. Kapelusz piaskowy z piórem ciemniejszem i wstążką atłasową.

Ryc. 5. Suknia z kortu bronzowego pluszem ciemniejszym ubrana. Spódnica z szeroką falbaną; poloneza udrapowana zręcznie, z kołnierzem dubeltowym. Całe ubranie obłamowane pluszem. Kapelusz z bronzowego filcu, piórem i różą aksamitną ubrany.

Ryc. 6. Paltocik z szkockiego materyału, formy długiej żakiety i poły odcinane, kołnierz z klapami; spódniczka popielata kortowa w plisy ułożona.

Ryc. 7. Paltocik dla dziewczynki z syberyny piaskowej z ponsową wypustką i sznurami takiemiż przybrany; kapturek atłasem ponsowym wyłożony, zdobi przyszycie. Kapelusik piaskowy z kokardą atłasową i objęciem ponsowem.

Ryc. 8. Suknia wizytowa z materyi ciemnoszarej, mieszanej z deseniową w rzut czerwony materyą. Spódnica ubrana falbankami, naprzemian gładkiemi i w deseń. Tiunika z bufek szerokich marszczonych, przepięta jest szlaczkami w deseń. Poloneza upięta à panier z zaokrąglonemi przodami frendzlą oszyta, ma przód kokardami ozdobiony; kołnierz popielaty szeroko wywinięty, z pod którego widać kamizelkę plisowaną. Kapelusz filcowy szary, wstążką jedynie przybrany.

OD REDAKTORKI I WYDAWCZYNI

„NOWYCH MÓD PARYZKICH."

Być organem wszystkich potrzeb *kobiety-obywatelki*:—oto cel naszego pisma, do którego stale zdążamy.

Mając potrzeby te na względzie i popierając szczerze każdą chęć do pracy, kobiet naszych, czuliśmy się w obowiązku ułatwić także nabycie uzdolnienia fachowego, które dziś najpewniejszy chleb dać może.

W tym celu, z dniem 1-*go Listopada b. r.* otworzyliśmy przy lokalu redakcyi:

„SZKOŁĘ RZEMIOSŁ"

gdzie wykładane będą wszystkie, przystępne dla kobiet zajęcia, poczynając od najpotrzebniejszych t. j.

NAUKI KROJU BIELIZNY I SUKIEN.

W miarę przybywania uczennic i rozwijania się zakładu, wszelkie GAŁĘZIE PRACY KOBIECEJ jako to: kwiaciarstwo, koronkarstwo, introligatorstwo galanteryjne, drzeworytnictwo, retuszowanie, heliominiatury, rysunek, malarstwo i t. p. wejdą w program nauki. Ceny za naukę oznaczać będziemy nizkie, aby najmniej nawet zamożnym kobietom dać możność korzystania z zakładu.

Obecnie zapisywać się można na:

Lekcye kroju bielizny i sukien, kurs całkowity rs. 15.
Lekcye heliominiatur, kurs całkowity rs. 15.

Chcąc aby nauka kroju była połączoną z niezbędną w takich razach praktyką, otwieramy równocześnie, przy redakcyi:

PRACOWNIĘ SUKIEN I BIELIZNY,

zasilaną wzorami najmodniejszych fasonów z Paryża.

Również przy lokalu redakcyi istnieje: ZAKŁAD FORM PAPIEROWYCH, który będąc urządzonym na większą skalę, dostarczać jest w możności najświeższych fasonów bibułkowych.

Żurnale z Paryża, dwa razy w tydzień świeże nadchodzą.

Osobna sala pomieści SZKOŁĘ SZYCIA, gdzie panienki, po skończeniu pensyi mogą uczęszczać dla nabrania wprawy w tak potrzebnej nauce.

W razie dostatecznej liczby uczennic do NAUKI KORONKARSTWA, sprowadzoną będzie nauczycielka z zagranicy.

Rodzice na prowincyi zamieszkali mogą stale córki swe umieszczać, u przełożonej zakładu, a zarazem redaktorki ,,Nowych Mód Paryzkich"

Maryi Ratyńskiej.

☞ W skutek potrzeby powiększenia lokalu, *redakcya, pracownia sukien, formy bibułkowe,* tudzież *szkoła pracy dla kobiet,* przeniesioną została **pod N. 8 przy ulicy Niecałej,** i tam też *zapis uczennic się odbywa.*

Odpowiedzl od Redakcyi.

Panu...... Na anonimy pisane zwłaszcza *we własnym interesie*, nie mamy zwyczaju zwracać uwagi, a cóż dopiero odpowiadać w piśmie. Zresztą artykuły p. t. ,,Gdzie praca dla kobiet naszych“ zyskały już sobie sympatyczne uznanie tak ogółu czytelniczek jak i wielu pism naszych, które wyraziły już o nich swoje *nieanonimowe* opinie. Przeciwko zaś fabrykantom anonimów rozsyłanych *systematycznie*, istnieją właściwe środki prawne, o których łatwo możesz się pan dowiedzieć.

OGŁOSZENIA

przyjmują się w cenie 10 kop. za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ NUMERU. Od Redakcyi.—Dziewczę w kłopocie (wiersz).—Z tygodnia.—Szopen i George Sand.—Pogadanki Lekarskie przez Dra Wł. Chodeckiego (ciąg dalszy).—Korespondencya z Paryża (ciąg dalszy).—Offenbach.—Nad brzegiem morza. Nowella. Przekład z niemieckiego St. B. (ciąg dalszy).—Opis wielkich tablic z modami.—Od Redaktorki i Wydawczyni ,,Nowych Mód Paryzkich.“—Odpowiedzi od Redakcyi.—Ogłoszenia.
W Dodatku: Lord Brackenbury. Powieść przez Amelią B. Edwards. (Ciąg dalszy).

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Wielka tablica z modami i Dodatek powieściowy, Lord Brackenbury, 5.

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Ноября 1880 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**



Déposé

SAISON D' HIVER 1880-81

NOWE MODY PARYZKIE

Niecala 8, VARSOVIE